

## Sezon

Nie odpowiada mi to. Nie odpowiada. Da.Da.Da. Leżeć i zdychać. Dyszeć. Charczeć. Wypychać z siebie to, czego się nie zamierzało produkować. Niezależna działalność ciała. Ciałka. Które sobie pogodnie rzeźbi i tworzy, ale co – lepka maź, do czego to komu? Tylko zatyka od środka. Ponoć zalepiło Chopina, choć może to plotka. Poza tym, jakie to ma znaczenie, kogo wypełniło, zapchało na amen? Leżę i zatyka – oto moja prawda. Wstaję, biorę książkę. Cztery kwartety Eliota. Wysoka kultura. A tu: yhy, yhy, ahrrr, tfu, hyaaa, ahrr, tfu. Oplute. I takie oto niegodne zajmowanie się, z chusteczką w rękę, godzina po godzinie, plwaniem na wszystko. Przychodzi jakiś w odwiedzinach: ależ ci zazdroszczę, ty to masz życie – rozrzewnia się – wylegiwanie się z ciepłą herbatką, z książką w rękę, ech, wczasy, nie musisz łązić do pracy co rano, nie to, co my. Tymczasem, jakie tam życie – próbuję znów Eliota: „Wszyscy wkraczają w ciemność (...) istoty puste w pustkę”. Ale gdzie we mnie pustka? Pełnia i plwanie. Zwarta substancja, której nie sposób się pozbyć, odnawia się, reprodukuje. Co rano, jakby jej więcej. I ciężka praca: yhy, yhy, ahrrr, tfu, hyaaa, ahrr, tfu. Potem: zmęczenie. Przerzuciłam dziś tonę węgla własnymi płucami.

I jeszcze ta medycyna. Sukcesy: dziś osoba chorująca na astmę ma szansę wieść normalne życie. Więc wiodę – między sezonami. Jest sezon na truskawki, na papierówki, sezon na narty i na żagle. Jest też sezon na szuranie w gardle, wodzenie złym smyczkiem po jeszcze gorszym instrumencie. Sezon na rżenie, chrząkanie i plwanie, na zmywanie i dusiołki, na zmięte chusteczki porzucane wokół łóżka. Do tego lekomania, bo jak inaczej nazwać tę orgię pigulek: niebieska tabletko rano i wieczorem, trzy razy dziennie po dwie zielone oraz po

dużej białej, która buzuje niespokojnie w wodzie i wypuszcza bąbelki, mała biała na wieczór i jeszcze wdech z pomarańczowego oraz zielonego dysku zaraz po wstaniu i tuż przed pójściem spać. Czasem więcej. Stary dowcip:

- Gdzie się pan stołuje, szanowny panie?

- Ostatnio w aptece.

- A, to bardzo drogi wyszynek.

Obliczam: za leki w tym miesiącu kupiłabym całą *Antologię poezji francuskiej*.

W zeszłym, ha, w zeszłym mogłabym sobie pozwolić, hmmm, na cztery tomy *Historii filozofii* Coplestona. Albo na przykład z 8 książek pomniejszych, jakieś masłowskie, libery, stasiuki, kuczoki. A tymczasem aaaaPSik i wszystko przechodzi, przez ten wielgaśny gruczoł, cierpliwą wątrobę.

Po co mi zresztą te kuczoki i libery, kiedy jedną nogą stoję po tej, a drugą po tamtej stronie, jak mówiono kiedyś, z namaszczeniem rozdzielając świat na to, co doczesne i wieczne. Dla mnie ten podział układa się nieco inaczej: świadomość wobec nicości i nicość bez świadomości, tak to by mogło mniej więcej wyglądać. Umieram – stękam wieczorem. Zdycham – mamrocę rano. Dobijam (powoli) trzydziestki. Dziś rzeczy nie są mniej nietrwale niż kiedykolwiek, pisze mnich Gyozan, a ja powtarzam to za nim. Rozpadam się, rozpadam – coś we mnie wrzeszczy donośnie. Nic się nie zmieniasz, jesteś tak samo żywa jak zawsze – przekonuje mnie zakłopotany partner. Jak to, jak to, myślę, przecież obumierają moje komórki. Narodziny – śmierć, narodziny – śmierć. Coś zatyka oskrzeliki, pęcherzyki płucne, rżężę jak staruch, z pewnością brakuje tlenu, drzewo oskrzelowe usycha, nie tak, żeby od razu, ale krok po kroku. I skąd ja potem wezmę oddech? – martwię się, przewracając się z boku na bok, duszno, nie mogę usnąć. W końcu chciałoby się życie posiadać, brać zeń garściami, lecz nie uszczuplać zapasu (to już fraza Emily, nie moja)<sup>1</sup>. A tymczasem wycieka, kropelka po kropelce, a czasem ciurkiem, jakby pękła rura

i nagle wylewało się strumieniem. I jak tu się nie bać, że potem zabraknie. Tchu. Zresztą, co tam – potem, kiedy brakuje – teraz.

Ciężko. Ciężko. Konstrukcja unosi się i opada, balon rozpycha mięśnie, rozchyła żebra, a potem wędnie. Klap. Ból. I nic nie lepiej. Ciągłe duszno. Otwieram okno. Sezon. Z mojego obserwacyjnego stanowiska (poduca pod plecami, kocyk, nieustająca siesta na kanapie) widzę: niebo – brudnoniebieskie, gałęzie, ścianę wieżowca od szóstego piętra w górę. Słyszę: jednostajny szum autostrady, klaksony, wrzask wron i terkotanie kawek. Oto moja perspektywa na życie, okno otwarte na możliwości, krztuszę się i odpluwam w chusteczkę. Rano rozmowa, któregoś rano. Bo wiesz – mówię – mnie zawsze wyjazdy dobrze robią, mały spacer po śniegu, gdzieś na wysokości, tam nie ma żadnych roztoczy, bakterii, to rewelacyjnie działa, RE-WE-LA-cyjnie, mówię i święcie wierzę, to mnie postawi na nogi, sam zobaczysz, jaka będę, jak nowa. Więc już się pakujemy, ja ledwie żywa, ale wrzucam, co popadnie, drugie spodnie, sweter, *Sześć chorób* Ciorana, bo co, bo może mi się uda akurat coś szczęśliwie przeczytać w pociągu czy na miejscu, a to o dolegliwościach nie byle jakich, bo ducha, liczę, że może, dzięki takiej perspektywie, zapomnę o chorobie ciała, ale gdzie tam, ledwie otwieram w pociągu książkę, a tu, ahyyr i tfu, tfu. Stąd wyłania się ahorecja, jako konsekwencja, bo jak tu nie być obojętnym na określniki, na te wszystkie poważne słowa: natura, kultura, Bóg, gdy jakieś małe świństwa, bakterie czy też twoje własne komórki żerne, trawią cię od środka.

Kiedyś można było myśleć o tym w innych kategoriach. Bóg z jednej strony, Szatan z drugiej. Narzekać: jeden zawinił, lub drugi. A ja to sobie mogę, chyba na naturę, że taka niedoskonała. Ba, żeby choć było coś takiego jak natura. Ostatnio stwierdzono, że Układ Słoneczny składa się nie z dziewięciu, ale z ośmiu planet. Drobiazg? Drobiazg. Wystarczy zmienić definicję, by zmieniło się

---

<sup>1</sup> Dickinson (“Of Life to own - /From Life to draw - /But never touch the reservoir -“)

to, co przywykliśmy zwać Układem Słonecznym. Ale to nie astronomia, tylko medycyna jest największą oszustką. Już radca Montaigne kpił z niej w swoich *Próbach* i niewiele od tego czasu się zmieniło. Niech dziesięciu lekarzy zobaczy to samo na rentgenie czy USG, a uwierzę. Niech dziesięciu lekarzy usłyszy to samo w klatce piersiowej, tak samo zinterpretuje plamy w gardle, a się nawrócę. Stąd ruletka: brać nie brać, brać nie brać i co brać. Wiadomo, im mniej, tym lepiej, ale czy się da, gdy od malutkiego, jak się zdaje, jesteśmy sztucznie utrzymywani przy życiu, w ten lub inny sposób, nie wiadomo, czy w ogóle dalibyśmy radę żyć po odłączeniu od tego systemu wspierania. Nie dziwne, że Amerykanie są tak naszpikowani chemią, że, jak głosi plotka, nie chcą się jak należy rozkładać w ziemi. Ale może chodzi jedynie o ich sztuczne zęby, biusty, pośladki?

W pociągu grzeją, zaduch, przekrztusiłam się do rana. Rano, wysiadamy w Zakopanem, od razu wpełzamy w mroźną mgłę, brakuje tchu. Szybko mapa, busik, do Doliny Małej Łąki, drepjemy, pniemy się. Chwieję się co dziesięć kroków, pochrząkuję, pokasłuję, schylam się w ekierkę, odpoczywam, a potem znów do przodu. Kapelusik okazuje się mieć dziurki, podmuchy kłują w uszy, opatulam się szczelniej kapturem. Mój miły dopytuje: lepiej? Walcząc z zawrotami głowy, na przemian dysząc i furkocząc w chusteczkę, odpowiadam: tak, tak, lepiej, zdecydowanie lepiej. Idziemy dalej, daję się ciągnąć za łapę, ale żeby zupełnie nie stracić fasonu opowiadam: zmiany klimatu od dawna zalecano w chorobach płucnych. Weźmy choćby taką *Czarodziejską Górę* Manna, tam jest wszystko dokładnie opisane. Samo uzdrowisko mieściło się w górach, gruźlicy chodzili na spacer, wysoko, po śniegu, czasem też w dół, do miasteczka. A jeśli nie chodzili, to leżakowali sobie, owinięci w grube koce, na mrozie, po kilka godzin dziennie, wdychając lodowate powietrze. O tak, lodowate powietrze doskonale robi na płuca. Tylko trzeba dobrze jeść i się nie przemęczać, nie masz pojęcia jak taki kaszel wyczerpuje – mówię, pokasłując,

więc robimy sobie przerwę na herbatę i maślane bułki. Poza tym, argumentuję, jak byłam tu wiosną, to mi pomogło.

Wiosna, przyczajona, zawsze atakuje zniecka. Kiedyś: wilki, niedźwiedzie, ot co groziło. Głód na przednówku. Chłód w zimie. A teraz, w mieście, między samochodami, blokowiskami, przemyka się ta kurewka w barwnych szmatkach, wszędzie zostawiając ślady swych nazbyt intensywnych perfum. Jaśmin. Bzy. Magnolie. Aż w końcu nie daje się wytrzymać, najpierw z oczu i z nosa zaczynają kapać łzy, potem, pewnego dnia, budzisz się ciężko dysząc, trzy dni później, już na pogotowiu, steryd, tlen, drgawki, wymiotujesz, znowu tlen. Wracasz do domu, pakujesz manatki – Tak się nie da żyć – powtarzasz – Tak się nie da żyć – i tego samego wieczoru, pociągiem, z torbą leków, wyjeżdżasz tam, gdzie jeszcze leży śnieg, a w pokojach, broń boże, nie grzeją. Telefon nie ma tu zasięgu, więc wspinając się pod górę sam ze sobą prowadzisz rozmowy. Bez sensu, to wszystko bez sensu – myślisz – cokolwiek się zacznie, zostaje przerwane, jakiegokolwiek planowanie, niemożliwe, ciągle coś szwankuje, jak można stworzyć tak niedoskonałe urządzenie, tak źle funkcjonujący mechanizm, może jednak niektórzy, tacy jak ja, powinni wyginąć, nie rozmnażać się, by nie pomnażać cierpienia na świecie. Zresztą, rozmnażanie wymaga sporo wysiłku i zaangażowania, a mnie się zwyczajnie NIE CHCE. Czy jest nudniejsza czynność na świecie niż sypanie ze sobą? Ciągle się to powtarza, dotykasz tych samych punktów, wykonujesz te same działania, nawet jeśli zmienione, o włos, o dwa włosy, to wciąż tak podobne, te same słowa, pocałunki. Może to bawi przez pierwszy rok, dwa, pięć, ale po dziesięciu staje ością w gardle. Jest tyle przesłanek przemawiających za tym, by popełnić odwleczone w czasie, genetyczne samobójstwo. Albo by zostać ascetą. Gdyby chociaż wiara była atrakcyjniejsza, dawała nadzieję, a nie kolorowe ikonki, wszystkie te plastikowe krzyże oraz chrystusiki i maryjki z wyidealizowanymi twarzami. Od samego ukrytego za nimi przekonania, że to, co dobre, musi być piękne, robi się gorzej –

stąd trzy kroki do eugeniki i dwa do operacji plastycznych. Czy brzydkie nie może być doskonale? Nieładnym trudniej, po grudzie wszystko idzie, pełźnie powoli, ślimaczy się, nawet świętym stać się niełatwo, gdy jest się paskudnym, bo jak tu mieć siłę i promieniować spokojem od środka, jak tu wspinać się na wyżyny ducha, gdy od dziecka inni śmieją się na twój widok, gdy zamiast podziwu wzbudza się pogardę. Zatrzymuję się i łapię powietrze, po chwili zawracam do schroniska, nie zawsze trzeba się wspinać na sam szczyt.

To było wiosną, a teraz znów, pnę się pod górę, tym razem nie sama. Człowiek wierzy, że pomoże mu to czy tamto, na przykład takie wspinanie się, górskie powietrze, łudzi się, wyzdrowieję na amen i potem już będę, w końcu, nareszcie, tyle na to czekam – człowiekiem doskonałym. Będę wstawał o świcie, medytował/modlił się/uprawiał gimnastykę co rano, pracował (tak czy inaczej), stosował właściwą dietę, właściwy tryb życia, będę czysty, czyściutki tak bardzo, że nikt nigdy żadnej plamki na moim stroju nie znajdzie i zawsze będę myć zęby, tak, zęby, to ważne. Skąd się to bierze w nas, ten mit? I czemu, tak uporczywie powraca i gnębi. Stosownie zachowuj się przy stole, odpowiednio na ulicy, ustępuj miejsca starszym, bądź uprzejmy, trzymaj się prosto, dbaj o strój. Tymczasem przy stole wstrętne odkasłuję w chusteczkę, żółta flegma, biały śluz. Powinnam wyjść, tego wymagają dobre maniere, ale czy można wychodzić, gdy się kaszle co chwila, czy to ma sens, kursować nieustannie między łazienką a kuchnią, zwłaszcza że nie wiesz, kiedy cię akurat przydusi. W autobusach, tramwajach wymęczona kaszlem, osłabiona, zajmuję pierwsze wolne miejsce i udaję, że nie ma żadnych staruszek. Wstrętne? Być może, ale odruch poszukiwania ulgi, łagodzenia cierpienia, silniejszy. Chodzę pochylona i nieraz, gdy zmęczenie sięga zenitu, nie dbam ani o przetłuszczone włosy czy przekrzywioną czapkę, ani o trzeci dzień z rzędu noszony sweter. Działając szukam heurystyk, według wzoru: szybko i prosto, jak najmniejszym włożonym wysiłkiem. I ciągle, w niezgodzie ze sobą, świadoma swojej niedoskonałości,

rozpadania się ciała, które się innym, w przestrzeni publicznej, tak łatwo nie sypie, cierpię z powodu nieskończonej odległości, między mną a ideałem.

W końcu wleźliśmy na przełęcz, ślizgając się po lodzie. Im wyżej, tym łatwiej się oddycha, niepojęta prawidłowość, ale jakże przyjemna. Na górze krzykacze: ślisko, za ślisko, nie da się tamtędy zejść, więc zamiast schodzić, idziemy dalej, po lodzie, w górę. Żeby chociaż mieć raki albo kije narciarskie, cokolwiek, by się wczepić w tę powierzchnię. Zamiast tego pniemy się obok ścieżki, tam gdzie tylko trawa z soplami, ale da się w miarę pewnie stanąć. W końcu, czubek kopy. W dół znowu sam lód, gładki. Zakłopotani stoimy, nie wiedząc, co zrobić. Łacha śniegu po południowej stronie, mokra, stąпам, krok po kroku, prowadzę ostrożnie, lekko mi, tak lekko, gdy przesuwam się nad tymi otwartymi przestrzeniami, opadającymi w dół. Potem idziemy po śladach, ścieżką, nieco poniżej grani, grudki śniegu odrywają się spod naszych butów i toczą się, toczą bez końca, znikają gdzieś w dole, w słońcu, gubi je nasz wzrok. Nie patrz tam – mówię – patrz, gdzie stawiasz stopy. Sama się chwieję, co chwilę, kołyszę się, bo ślady nierówne, chybotliwy wywijaniec. W końcu siadamy, pijemy herbatę, milczymy, oboje zmachani. Potem znów, ślad po śladzie, krok po kroku, w sumie pięć godzin od wyjścia. Wreszcie jesteśmy na końcu grani, finalny szczyt, ale zejście do schroniska jeden lód. Próbujemy się spuścić w dół. W końcu rezygnujemy, schodzimy do miasta, długą trzygodzinną trasą, ślizgając się po oblodzonych stopniach, na końcu drepcząc w ciemności. W pociągu powrotnym drzemiemy, oparci o siebie. Nagle słyszę ciężki oddech, łapanie powietrza, tak jakby ktoś tonął. Potrząsam partnera za ramię. Zły sen? – pytam. – Śniło mi się – mówi – że spadamy, w dół, jak te grudki, i nie możemy się zatrzymać.

A mnie śni się tylko ta lekkość oddychania i otwarte przestrzenie. Czemu tam nie zostałam, znów mi brakuje tchu. Gdyby się dało spędzić całe życie na górze!

Ciężko. Chętnie powtórzyłabym za Hiobem: niech przepadnie dzień mego urodzenia, dlaczego nie umarłam po wyjściu z łona, po co się daje życie strapionym, istnienie złamanym na duchu. Ale nie będę wołać: oby się zgodził mnie zmiażdżyć i przeciął pasmo dni moich (pan), bo to i tak, prędzej czy później nastąpi, bez jego czcigodnej ingerencji, naturalnym biegiem rzeczy, a oddech, chropowaty, tylko o tym przypomina, plwocina mówi, cali jesteśmy ulepieni z tego, a nasze miłości lepkie są od śluzu. Wróciłam na dół, wydaje się, że tym razem wyjazd nic nie dał, a może nawet wszystko pogorszył, w piersiach coś zalega, cięży, przygniata. Leżakuję. Wieczorem mam widok na księżyc. Lodówka wygrywa swoje mrukliwe preludia. Czekam, aż się skończy sezon.